

G. DE TE'RAMOND.

W OBRONIE HONORU.

(TAJEMNICZY NIEZNAJOMY).

13

(Dokończenie).

Gdy w kancelaryi oznajmiono jej, że jest już wolna, zdawało jej się, że zemdleje, przypominając sobie jednak uwagi Pawła de Vareilles, pohamowała się i rzekła do sekretarza więzienia:

— Dziękuję panu.

W pięć minut potem rozwarła się przed nią ciężka brama. Żanetka znalazła się na ulicy. O kilka kroków obok stał samochód. Koło niego czekał, drżąc z niecierpliwości, Paweł de Vareilles. Wsadził Żanetkę do samochodu i zaraz ruszyli naprzód. Z początku jechali w milczeniu. Co chwila były porucznik patrzył przez okienko w tyle. Uspokoił się jednak wkrótce. Żadne niebezpieczeństwo im nie groziło. Nikt ich nie śledził. Młoda dziewczyna szepotała wzruszona:

— Ach, ileż wdzięczności winnam panu!

Lecz on przerwał jej łagodnie:

— Niech pani nie stosuje do mnie tego słowa... spełniłem tylko swój święty obowiązek... dopóki nie dokonam całego swego postanowienia, nie mam prawa do żadnego podziękowania... potem dopiero...

Zamilkł na chwilę i dodał drżącym głosem:

— Wtedy dopiero będę czekał, aż serce pani wyznaczy mi nagrodę, na jaką zasłużyłem...

Czy zrozumiała znaczenie tych słów? Czy myślała tajemna jej towarzysza była zarazem i jej myślą? Zapuściła swe długie rzęsy na jasne oczy i z twarzą, zarumienioną wstydliwie, odpowiedziała:

— Nie będę niewdzięczną.

Tak dojechali do Passy. Tam w stojącym na uboczu pensjonacie wynajął Paweł de Vareilles wygodne mieszkanko, z oknem na ogród.

— Odtąd — rzekł — będzie pani mieszkała tutaj, zdaleka od wszelkich trosk... czas doświadczeń już minął... wszystkie życzenia pani będą spełnione... nigdy nie sądziłem, że tak będę się cieszył z tego, iż jestem bogaty...

— Ach! — zawołała wzruszona — jakie szlachetne ma pan serce!

Jakaś ukryta jednak myśl, której nie mogła się pozbyć, stłumiła wylew tej radości. Widocznym było, że chciała się o coś zapytać, lecz nie śmiała. Spozstrzegł to jej opiekun.

— Coś panią niepokoi, Żanetko? — zapytał — proszę mi się zwierzyć... postaram się rozwiać wszelkie nieporozumienie, by nic nas nie rozdzielało...

Rzekła tedy:

— Dlaczego pan, człowiek tak łagodny i dobry, zabił tego biednego oficera?... Czy nie uważał mnie pan za dosyć uczciwą, bym mogła się oprzeć jego natarczywości?...

— Niech pani uspokoi się — odparł poważnie — nie kierowałem się żadną nierozumną obawą lub zazdrością, która mogłaby być zniewagą dla pani... W swoim czasie pozna pani pobudki, które mnie skłoniły do ukarania tego nędznika... żadnego wyrzutu nie doznaję z tego powodu...

— A ten nieszczęśliwy inspektor, którego pan...

Przerwał ze śmiechem:

— Wyrzucił przez okno?... Och, proszę się nie lękać, droga Żanetko... nigdy nie liczę na żaden wypadek... zanim dałem mu tę lekcję grzeczności, wiedziałem, że upadnie na markizę nad werandą i że nic mu się złego nie stanie...

Tymczasem pan Rodanet, przeglądając następnego tygodnia papiery, odnoszące się do sprawy o zabójstwo kapitana, rzekł do swego pisarza:

— Nie mogę jednak trzymać do nieskończoności w więzieniu tej młodej dziewczyny... trzeba coś postanowić... zaraz ją skonfrontuję z inspektorem i jeżeli to nie da żadnych rezultatów, każę ją wypuścić...

Nie dokończył jeszcze swych słów, gdy zapukano do drzwi.

Woźny oznajmił, że inspektor już jest i czeka na przyjęcie.

— Niech wejdzie.

— Panie sędzio — rzekł uradowany Lapipe, jak człowiek, który przynosi dobrą nowinę — odkryłem fakt, potwierdzający najzupełniej to wszystko, co twierdziłem o zabójstwie kapitana Fraskopelly.

— Cóż to takiego? — zdziwił się pan Rodanet.

— Wychodziłem właśnie od siebie, by udać się do pana sędziego, gdy nagle na bulwarach zatrzymuje mnie przyjacielskim ukłonem jakiś jegomość.

— Ach! Mister Lapipe, how do you do?... Nie poznaje mnie pan?

Starałem przypomnieć go sobie.

— Ależ tak — zawołałem po chwili — poznaję... tak... Marsylia... „Stary Czarny Pies“... pan jest kapitan William?...

— Yes!

— Który ma trzy córki na wydaniu?

— Niestety, do tej pory!... Doszło do tego, że dom mój zamienił się w czyste piekło... nie mam spokoju, chyba na swym statku na pełnym morzu... Ale co u pana słyhać, mister Lapipe... złapał pan tego dziwnego pasażera?...

— Jeszcze nie — odparłem niechętnie — ale wkrótce to nastąpi... Ach! Kapitanie, co to za zuch, jaki strzelec!...

— Nie potrzeba mnie o tem mówić, mister Lapipe! W czasie jazdy strzelał do mew, latających koło okrętu i zawsze trafiał, nawet z rewolweru... kupił go nawet odemnie, mówiąc, że jest to doskonała broń... to prawda, gdyż była to robota Stephenson!...

Przy nazwisku tem aż podskoczyłem z radości.

— Stephenson?

— Tak... najlepsza marka amerykańska...

— A nie pamięta przypadkiem kapitan numeru tego rewolweru?

— Doskonale!

Wyjął z kieszeni notes i podał mi zapisany w nim numer:

— 12.334...

— Jest to panie sędzio — mówił dalej inspektor — numer rewolweru, który leżał na stole przy zwłokach kapitana Fraskopelly! Zabójca kapitana jest więc pasażerem ze „Starego Czarnego Psa“... ja więc miałem rację!...

— Istotnie — szepnął pan Rodanet, zmieszany tem wszystkim, co usłyszał — pan ma doskonały węch, panie Lapipe... nada to nowy obrót tej sprawie... Przedtem jednak należy wezwać obwinioną przez pana i zmusić ją do mówienia...

Podszedł do drzwi i zawołał:

— Panna Levasseur!

Dozorca więzienny, który czekał już od pewnego czasu na ławce, podniósł się i podał mu list.

Pan Rodanet rozerwał nerwowym ruchem kopertę i przeczytał ze zdumieniem te słowa:

„Dyrektor więzienia Saint-Lazare ma zaszczyt oświadczyć Panu Sędziemu śledczemu, że więzień Żaneta Levasseur została uwolniona 31 marca b. r., stosownie do urzędowego rozporządzenia Pana Sędziego śledczego, podpisanego dnia poprzedniego“...

XIV.

Tajemniczy nieznajomy.

Chociaż stwierdzenie faktu tego było nadzwyczaj przykre dla pana Rodaneta, przedsięwziął jednak natychmiastowe śledztwo, które wykazało, w jak śmiały a zarazem prosty sposób została uwolniona Żaneta Levasseur.

— Teraz już pan sędzia przekonał się chyba — zawołał Lapipe — gdy, jak święty Tomasz nie tylko pan widział, lecz i dotykał się palcem... istnieje więc, czy nie istnieje to tajemnicze indywiduum, które morduje ludzi... uwalnia swoich spółników... drwi z policyi... i kpi ze sprawiedliwości?

— Bez wątpienia! — odparł Rodanet zamyślony.

Naiwięcej niepokoiło go to, iż sprawa cała przedostanie się do dzienników i okryje go śmiesznością z tego powodu, że dał się wywieść w pole. By uniknąć też złośliwych dziennikarskich komentarzy, które mogłyby zaszkodzić jego karierze, postanowił oznajmić, że on sam istotnie wydał rozkaz wypuszczenia na wolność młodej dziewczyny, o czem w nawale spraw, jakie prowadzi, zapomniał chwilowo.

Choć bez wielkiego przekonania, dodał jednak:

— Będzie można ją odnaleźć!

— Łatwo to powiedzieć, panie sędzio... szukać jej teraz po tygodniu... ptaszek frunął już daleko!...

— Eh, pan ją odszuka... przy pańskim sprycie mogę nie obawiać się o wynik...

Inspektor jednak, nieczuły na komplementy, potrząsał tylko w milczeniu głową, by nie odpowiedzieć ironicznie, że lepiej nie trzeba było trzymać na wierzchu stołu podpisanych rozkazów uwolnienia.

Wychodząc z gabinetu sędziego, inspektor skierował się wprost do dyrekcji policyi.

— Co się panu stało, panie Lapipe? — zapytał dyrektor, patrząc na jego zmartwioną minę.

— Proszę pana dyrektora — odpowiedział bezdźwięcznym głosem — mam dwadzieścia lat dobrej i bezustannej pracy w policyi, dwadzieścia lat, pod-

czas których nie oszczędzałem ani swego czasu, ani sił...

— Wiem o tem — odrzekł dyrektor, nie przypuszczając, dokąd inspektor zmierza.

— Mam więc zaszczyt złożyć w pańskie ręce prośbę o uwolnienie.

Dyrektor zaczął się śmiać.

— Panie Lapipe, pan już mi o tem mówił... odpowiedziałem, że to niemożliwe... z takimi agentami jak pan, nie rozstają się nigdy!...

— A jednak trzeba — westchnął inspektor — i mnie jest bardzo przykro opuszczać zajęcie, które lubiłem i któremu poświęciłem całe swe życie... lecz co czynić?... Jestem zmęczony... potrzebuję spoczynku... a przytem i moja żona męczy mnie ciągle, byśmy przenieśli się na wieś... nie znosi powietrza paryskiego!...

— Ta, ta, ta, panie Lapipe, stara się pan ukryć przedemną prawdziwe pobudki... jest tam coś, czego pan nie chce wyjawiać...

Inspektor wahał się przez chwilę, potem zdecydował się nagle i zaczął mówić:

— Prawda, panie dyrektorze... wszystko już powiem... mianowicie, iż w moim wieku nie jest się usposobionym do odgrywania roli Szerloków Holmesów!

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To, iż dzisiaj zawód nasz nie jest tem, czem był przed dwudziestu laty, gdy wstępowałem do policyi... wtedy żądano od agenta tylko wiele brawury i trochę sprytu... i przy tych zaletach łatwo było chwycić przestępców, rzadko też która zbrodnia pozostała nieukarana...

— Bez wątpienia, lecz...

— Dzisiaj wszystko się zmieniło... zbrodniarze inaczej teraz działają... ich poziom, że tak powiem, podniósł się wysoko... miejsce brutalnej siły zastąpiła u nich inteligencja... dokonują swych czynów z niezwykłą maestryą... nie nie pozostawiają wypadkowi... zabezpieczają się pod każdym względem, by ich nie odkryto... a jeżeli przypadkowo odnajdzie się którego, to po to, by nie mógł go arestować...

— Więc cóż z tego?

— A ja jestem ze starej szkoły... rzucić się na opryszka, który wyjął na mnie nóż lub wycelował rewolwer, to ja mogę... nie umiem jednak wyjaśniać tajemnic i układać sensacyjnych romansów... walczyć z telefonem, mikrofonem, telegrafem bez drutu, dynamitem, chloroformem i chlorkiem metylu i tysiącami innych wynalazków, którymi posługują się przestępcy, to nie jest w moim zakresie... Oto i wszystko!...

— Niechże pan jaśniej wytłumaczy się, panie Lapipe...

— Pan dyrektor śmiał się ze mnie, gdy ja postawiłem hipotezę, że jest tajemniczy nieznajomy, który dopuścił się całej seryi zbrodni, a nie dał się schwytać... tymczasem nie można już o tem nawet wątpić...

I opowiedział mu szybko wszystko, co się stało od ostatniego ich widzenia, po zabójstwie kapitana, a w końcu dodał:

— Nie czuję się na siłach walczyć z nim... wolę cofnąć się, uznając się za zwyciężonego... niech inny zdobywa tę trudną sławę... chociaż nadzwyczaj bolesną jest mi ta konieczność, przyniosę jednak jutro panu dyrektorowi swą prośbę o uwolnienie...

— Ależ, panie Lapipe, niech pan się tak nie poddaje!... Kara przychodzi nieraz wolno, ale zawsze przychodzi... i najczęściej wtedy, gdy najmniej się tego spodziewamy!... Nie można więc rozpaczać... Skończy się na tem, iż będziemy mieli tego ptaszka... i tak jestem tego pewien, mój drogi panie Lapipe, iż proszę, by pan pozostał z nami...

— Nie, nie, panie dyrektorze!... Chociaż bardzo pochlebne są dla mnie pańskie słowa i bardzo sobie cenię pańską zachętę, moje postanowienie jest stałe... muszę już odejść...

Dyrektor popatrzył uważnie na inspektora i rzekł powoli z wielką powagą:

— Panie Lapipe, co pan myśli o żołnierzu, który opuszcza swój posterunek w czasie walki?

Inspektor zbladł. Słowa szefa dotknęły go, jak uderzenie batem. Wyjąkał kilka niewyraźnych przepraszeń. Dyrektor jednak nie dał mu oświadczyć sobie, lecz mówił dalej z serdecznością:

— Pan jeszcze namyślił się... opanowało pana chwilowe zniechęcenie... Któż go z nas nie zaznał?... Niech pan wróci do siebie i spocznie. Za dni kilka przyjdzie pan do mnie i wtedy naradzimy się, co uczynić, by schwytać tego człowieka, który spędza sen z oczu pańskich... prawda, robi pan to?...

Lapipe skłonił się w milczeniu i wyszedł.

Co ma teraz uczynić?... Nie wiedział nic... Szef jego ma rację, dezercja w podobnych warunkach